

zna, który przez ten czas o tyle przyszedł do sił, że mógł iść sam, bez pomocy.

— Więc pan tutaj mieszka? — zawołała starszka zdziwiona.

Budynek, jaki przed sobą widziała, zdawał się być za mały, aby w nim mógł kto mieszkać. Mężczyzna uśmiechnął się.

— Pani pewnie myślała, że ja mieszkam w jakim wspaniałym pałacu; ale widzi pani, nawet w tej chatce mogło się do mnie szczęście uśmiechać, gdyby nie...

Przerwał i podszedł ku drzwiom, dodając półgłosem:

— Może kiedy później jeszcze o tem pomówimy.

Pani Bernere przestraszyła się prawie, kiedy weszła do mieszkania i kiedy nieznajomy zapalił lampę. Pokój, w którym się znajdowali, był, chociaż mały, bogato, nawet świetnie umeblowany, z przepychem.

Meble wyścielane, najrozmaitsze sprzęty, raczej do upiększenia mieszkania, jak do użytku służące, jakie się znajdują tylko u bogatych mieszczuchów, lub możnych panów, wypełniały cały pokój, a rozstawione były bardzo umiejętnie i gustownie. Był tam i wielki, drogocenny dywan perski, zaścielaający całą podłogę i olbrzymi, również niemałej wartości świecznik, zwieszający się od pułapu.

Mężczyzna usiadł we fotelu i patrzył na kobietę, na której twarzy malowało się szczere zdziwienie i pewnego rodzaju obawa. Potem poprosił ją, by usiadła, co ona też uczyniła.

— Nie jestem biednym, ale przy mojem bogactwie nie jestem też szczęśliwy — rozpoczął zdławionym głosem.

— Istnieje pozorne szczęście, które nie zadowolni szlachetnego serca — odrzekła kobieta. — Prawdziwe szczęście musi człowiek nosić sam w swem własnem sercu.

Wyraz twarzy mężczyzny zmienił się w jednej chwili.

— Tak, tak, ma pani rację — tylko w własnem sercu jest prawdziwe szczęście; wszystko inne to tylko złuda i umęczenie dla duszy.

— Żył pan tutaj zanadto osamotniony i dlatego popadł pan w zwątpienie. Bo człowiek jest stworzony do życia towarzyskiego, dla ludzi.

Mężczyzna zrobił nagle ręką ruch zaprzeczający.

— Ludzie właśnie zrobili mnie nieszczęśliwym i dlatego uciekłem do tej samotni. Miałem nadzieję, że zdala od ludzi zdołam odzyskać utracony spokój.

— Nadzieja jednak okazała się złudzeniem, nie prawdaż?

— Niestety!

— Nie masz pan żadnych krewnych ani przyjaciół, z którymi obcowanie zawsze wpływa kojąco na duszę zwątpieniem dręczoną?

Potrząsnął głową.

— Nie mam nikogo, nikogo na całym świecie.

— Więc pan tak żyje sam jeden? — Biedny pan jesteś!

On podparł głowę rękoma i utknął wzrok w podłogę.

W umyśle kobiety poczęło się naraz budzić podejrzenie, że w życiu tego człowieka zawarta być musi jakaś tajemnica, z której dopiero ręka śmierci zdoła odsunąć zasłonę.

— Czy mogę zapytać, jak się pan nazywa? — zapytała, chcąc myśli jego zwrócić w inną stronę.

— Niech mnie pani nazywa Fryderykiem — odparł, podnosząc wzrok w górę.

— Ja się nazywam Marya Renault — rzekła, gdyż na chrzcie otrzymała imiona Teresa Marya.

Przedstawiając sobie w ten sposób, uczuli, że są jakby jacyś bliźni — i nieświadomie prawie podali sobie ręce.

P. mimo to kobieta podniosła się i rzekła:

— Nie będę pana przeszkadzać — niech pan idzie spać. Bóg wszechmocny niech pieczę nad panem obejmie.

Fryderyk wstał nagle.

— Jakto, pani chce odejść? Chce mnie pani zostawić samego?

— Muszę przecież...

— Nie, nie musi pani i nie odejdzie pani stąd teraz, w tej godzinie.

Wziął ją za ramię i delikatnie usadowił znowu we fotelu. Potem wyszedł z pokoju, ale po chwili powrócił.

— Przynoszę pani posiłek — rzekł, stawiając na stole tacę z rozmaitemi zimnymi przekąskami. Ze szafki wyjął butelkę wina i dwie szklanki, które napełnił i trącając się z nią, rzekł:

— Oby nasza przyjaźń była jak najdłuższą!

— Daj Boże!

Wypróżnili oboje niezbyt duże szklanki. Pani

Bernere zaspokoili potem głód. Towarzysz jej nie miał wcale apetytu do jedzenia. Siedział w milczeniu, na pytania odpowiadał jeno półśłówkami. Pani Bernere usiłowała go rozerwać, ale usiłowania jej spełzły na niczem.

Wreszcie Fryderyk podał jej klucz i rzekł:

— Jak pani wyjdzie do sieni, zobaczy pani na prawo drzwi. Niech je pani tym kluczem otworzy. Znajdzie tam pani wszystko, czego pani potrzeba na nocleg.

Życzył jej dobrej nocy i skierował swe kroki ku bocznym drzwiom, przed którymi stanął zamyślony. Potem powrócił jeszcze, chwycił jej rękę i rzekł:

— Niech pani uderzy, pani Renault! Tak! Na zgodę!

Uczyniła to.

— Teraz już jestem spokojny. Przez to uderzenie dłoni zobowiązałaś się pani nie uciec stąd i pozostać tutaj. Dobrze?

— Pozostanę, panie Fryderyku!

— Tylko przez tę noc?



...Głowa wisielca osunęła się, jak martwa bryła, na ziemię.

— Tak długo jak pan zechcesz.

— Dziękuję pani.

Podniósł jej rękę do ust i ucałował ją.

Kiedy się odwrócił, łzy błyszczały w jego oczach. Zdawało się, że ma zamiar jeszcze coś powiedzieć, ale nie mógł i szybko oddalił się do swego pokoju.

Pani Bernere patrzyła chwilę na drzwi, za którymi on znikł.

— Mój Boże, ta twarz — czy ja jej kiedyś gdzieś nie widziałam? Jeżeli nie, to w każdym razie jest on ogromnie podobny do kogoś, kogo przedtem dobrze znałam.

Ale nie łamała sobie nad tem dłużej głowy i udała się na spoczynek.

XI.

Odwiedziny.

Pani Bernere obudziła się bardzo wcześnie. Pierwsze promienie słońca, wpadając do pokoju, rozjaśniły to małe, ale wygodne asyllum, w którym przepędziła noc. Pokoik był bardzo bogato ume-

blowany, a tak czystutki, że ją samą podziw ogarniał.

Gdyby tak mogła pozostać tutaj na zawsze — pan Fryderyk nawet życzył sobie tego — nędza jej nareszcieby się skończyła. Chociaż jednak starała się zapomnieć o zdarzeniach dnia wczorajszego, to jednak myśli jej były niemi ciągle zajęte i zaciemniały jej pogodny pogląd na przyszłość. Bo też przestraczem napełniała ją myśl wspólnego pożycia pod jednym dachem z człowiekiem, który chciał skończyć samobójczą śmiercią, którego ona od styczeńka odcięła.

Wyszła ze swego pokoju do sieni. Zdawało jej się, że słyszy jakieś ciche jęki, dolatujące z izby, w której spał Fryderyk. Przestraszyła się. Czyżby Fryderyk zachorował?

Nie namyślając się długo, weszła do izby. Fryderyk leżał z rozognioną twarzą; oczy mu błyszczały gorączkowym ogniem, a pierś jego podnosiła się ciężko, z trudem chwytając powietrze.

Podeszła do łóżka i chwyciła jego rozpaloną rękę.

— Pan jest chory, panie Fryderyku. Może pójść po lekarza?

Potzął głową.

— Ale choroba, zdaje mi się, jest poważna i...

— I żaden lekarz na nią niema lekarstwa — przerwał jej bezdźwięcznym głosem. — Podajmi pani wody, pragnienie mnie pali.

Spełniła jego rozkaz. Chory podniósł się i pił chciwie, potem głowa mu opadła znów na poduszki.

— Cóż teraz będzie?

— szepnęła. — Najlepiej zawołać doktora.

— Nie, nie! — krzyknął chory. — Może później — dodał po chwili, zdaje się po to tylko, ażeby się jej nie sprzeciwić.

— Więc pan nie spał tej nocy zupełnie?

— Nie. Spałem kilka godzin i dopiero o świcie obudziłem się z szalonym bólem głowy i gorączką.

— To znaczy, że pan ma febrę. Gdyby lekarz przyszedł, to łatwo dałoby się zapobiedz złemu.

Poprosiła go, ażeby jej wskazał, gdzie może znaleźć stare jakieś lniane szmaty. Znalazłszy je, przyniosła zimnej wody i zrobiła mu zimny okład. Przygotowała również limoniadę, podając ją choremu zamiast wody. Przez kilka godzin krzątała się tak koło chorego, pragnąc mu ulżyć w cierpieniu. Dopiero, kiedy ujrzała, że mu już rzeczywiście

lepiej, że go wreszcie sen zmorzył, odeszła, aby się nieco posilić.

Chory spał kilka godzin. Obudził się dopiero około trzeciej popołudniu. Wzrok jego padł odrazu na panią Bernere, która siedziała u jego nog. Pochwycił nagle jej rękę i przycisnął ją do spieczonych gorączką ust.

— Co pan robi, panie Fryderyku! — krzyknęła, wyrwijając rękę.

— Pozwól mi pani zatrzymać w mej dłoni tę rękę, która tak litościwie mną się opiekuje — ozwał się chory, a głos jego drżał od głębokiego wzruszenia.

— Czujesz się pan zdrowszy?

— O tak — znacznie zdrowszy; zdaje mi się, że się na nowo urodziłem — odrzekł z uśmiechem.

— To chyba cud...

— Tak, cud, cud zdziałany przez panią, przez jej szlachetną, pełną poświęcenia litość.

— Proszę tylko nie przesadzać.

(Ciąg dalszy nastąpi).